

Z podróży po stepach Ameryki.

Przez
Ernesta Buławę.

I.

Wielki step. Łowy na bawoła.

Pochód dwugodzinny w kierunku południowym, wywiódł nas wreszcie z pustej okolicy lasów pogranicznych, i zoczyliśmy z niewysłowioną rozkoszą bezbrzeżny step, olbrzymią, falistą zielonością rozkładający się w prawo i w lewo.

Mogliśmy teraz śledzić bieg wspaniałej Kanady, czy kilku innych mniej wielkich strumieni, po zielonych smugach lasów rosnących u ich wybrzeży. Krajobraz był porywającej piękności! Widok płaszczyzn — bezbrzeżnych o tak bujnej florze, że wprawia w stan swobodnego zachwytu! — Szerszą pierśią oddychamy na widok tych rozległych, bujnych błoni, których balsamiczne tchnienie nas upaja.

To wrażenie zaś podwójnie oddziało na mnie po wydobyciu się z gąszczu niezliczonych krzaków i gałęzi.

Z nieznacznej wyżyny Beatte wskazywał nam miejsce, kędy z swymi towarzyszami położyli kilka bawołów; w błękitnawej oddali dał nam dojrzeć ciemne, ruchome kształty, powiadając, że to są niedobitki wczorajszej gromady. Kapitan zdecydował się postąpić o milę, ku zarosłom krzaczystym, i tam na parę dni się spuścić dla użycia łowców na bawoły i przysporzenia żywności.

W czasie pochodu jeźdźców wzdłuż pomienionego wzgórka Beatte, zobowiązał się mnie i moich towarzyszków przeprowadzić na miejsce, gdzie spotkanie się z trzodą dzikich bawołów było jeszcze pewniejsze.

Po przebyciu krótkiej przestrzeni w odwrotnym kierunku łąk, ujrzelśmy w dali stado dzikich koni o milę od siebie. Natychmiast Beatte zapominając o bawołach, spiął swego na pół dzikiego konia z arkanem swoim u siodła, pomknął za nimi, gdy my po-

zostaliśmy w miejscu śledząc z zajęciem ze wzgórków jego gwałtowne manewry. Z razu wśliznął się w gaj krzaczysty i niepostrzeżony podszedł czujność rumaków, w tej chwili jednak spostrzegło go stado i pierzchno błyskawicznym tumanem. Śledziliśmy go w dalekiej oddali, ścigającego za końmi, rysującego się w pędzie galopa na odległym horyzoncie. Podobny do korsarza uganiającego się za umykającym statkiem po morzu, pędził naprzód grzbietem leciuchnego wzgórza, następnie przez głęboką dolinę, potem znowu falą małego wzniesienia, dotykając już prawie jednego z uchodzących koni. Raptem znalazł się tuż naprzeciw niego, i usiłował go schwytać, wtedy obaj znikli nam z oczu okryci cieniami sąsiedniego pagórka. W istocie mówił nam potem, że udało mu się zarzucić pierścień swego arkanu na konia przepysznej dzielności, ale ten wyrwał mu się unosząc arkan na sobie.

Czekając jego powrotu dostrzegliśmy dwa bawoły schodzące z bujnej wyżyny ku strumieniowi obrośniętemu gajem, upowitemu w puchy majowej zieloności. Młody hrabia i ja dostaliśmy się cichaczem aż do gestwiny gajowej. Ujrzały nas o trzy lub czterysta kroków, i natychmiast górzystą równią pomknęły do odwrotu.

Szybko puściliśmy się w pogoń. Olbrzymia budowa głowy i karku utrudnia im drogę pod górę, ale ułatwia z góry. Mieliśmy więc przewagę, ale niełatwo było zmusić konie do zbliżenia się, sam bowiem wiatr bawoła napelniał je przerażeniem. Hrabia z dubeltówki dał dwa razy ognia kulą i chybił. Wtedy woły w przeciwnym puściły się kierunku zbiegając bardzo szybko. Ponieważ rozdzielili się w ucieczce, my też rozdzieliliśmy się w pogni, i każdy popędził za swoim zbiegiem.

Miałem parę wybornych pistoletów pożyczonych w Fort Gibson, które służyły w niejednej wyprawie. Najstosowniejsza to broń na bawoła, do którego trzeba strzelać blisko i w pędzie. Dzielność konia odpowiadała mojej ochocie, jednak, ile razy znalazłem się na równi z bawołem, koń kładąc uszy po sobie okazywał znaki łatwego do pojęcia przerażenia. Pomiedzy zwierzętami pustyni, bawoła ścigany w pędzie ma w istocie kształt naj-

bardziej szatański. Te czarne rogi ostre a krótkie, sterczące z płaskiego czoła, grzbiet najeżony jak ruchoma góra, oczy jak dwa węgle płonące, zapieniony pysk rozjuszeniem, purpurowy ozór wywalony do połowy i trzępiący się w powietrzu, ogon zadarty wgórę, którego kiciasta frędzla płonie w powietrzu, składają obraz rozwścieklenia pomieszanego z trwogą. Z wysileniem zniewoliłem konia do przybliżenia się, palnąłem i oba kurki kłapły. Tak były zużyte te weterany, że w galopie pospadały kapsle. Przy drugim strzale byłem tuż przy byku, który do ostateczności przywiedziony, zarył nagle i z całą furją zwrócił się na mnie. Koń skreślił się jak sprężyna, i począł drgać konwulsyjnym pędem, tak że powietrze gwizdzące muie dławilo, i jeszcze dzierząc drugi pistolet w rękę, po strzale, cudem nie zostałem powalony. Kilka pomknęć mego konia, oddaliło nas od siebie, gdyż byk instynktem obrony tylko pędził za mną, ujrawszy się zaś dalej, odwrócił się i uciekał znowu. Ukoiwszy panikę konia, po opatrzaniu pistoletu, łatwo mi przyszło dosięgnąć nieprzyjaciela, który włókł zwolna masę swego cielska, bo nieborakowi tchu brakło. Skorom się zbliżył, ponowił swój galop ołowiany, a pędzony przez burzany i oparzeliska, spłoszył kilka głuszców i parę wilków, które ztamtąd umykały w gromadnym nieładzie i w odwrotnych kierunkach, nagłone grzmotem dudniącym jego kopyt, pod którymi stękać zdała się ziemia bagnista doliny.

Nie tak to łatwo dościgać zwierza na tych stepach, wcale nie gładkich i jednostajnych. Łąka pokryta kobiercem traw kuso wypasionych, zwanych gazonem bawołów, mniej ma krzewów i kwiatów, niż stepy wyższe; ale za to częste wzgórza i wąwozy, a najgładsze miejsca powyżłabiane i podziurawione powodziami strumyków, po deszczach nabrzęknięch, raptem tamują pęd jeźdźcy lub grożą jego kościom i członkom. Wreszcie nie rzadko zdarzają się jamy, ryte w ziemi przez mniejsze zwierzątka, w tych potykają się i okropnie padać zwykły rozpędzone konie.

Ostatnie deszcze zalały część stepu, i trzeba było przebyć cały obrus martwej wody szeroko stojącej. Dalej wiele jam wytarzanych przez samych bawołów, lubiących przewalać się w piasku i błocie, prosiat obyczajem. Te

jamy i legowiska pełne wody połyskują jak zwierciadła, a konie zmuszone wciąż je przesadzać lub obchodzić. Było to miejsce najtrudniejsze do przebycia. Byk uchodzący z życiem nie przebierał w drodze, pędził debrami, których brzegiem tylko można mu było w pędzie towarzyszyć. Wreszcie zapadł w moczare, gdzie woda pokrywała całą przestrzeń łąki. Wystające brzegi były skaliste, i okryte żwirem usuwającym się spadzisto. Jeden z byków puścił się tedy, sadząc temi skalami. Tu straciwszy możliwość pogoni — stanąłem, patrząc za nim, dokąd znikł mi z oczu.

Nie pozostawało jak szybko powrócić do towarzyszy. To było nieco trudno. Zapędzony zapałem myśliwskim, byłem w miejscu dzikiem, samotnie rozległym, kędy cały widokrąg jednostajny składał się z przestrzeni falującej roślinności, bez żadnych znaków wyrazistych i poszlak; podróży mniej doświadczony, może się tam zagubić równie łatwo, jak na pełniach zielonego morza. Na dobitkę niebo było chmurne i nie mogłem żeglować za słońcem w tej stepowej powodzi. Wracałem śladem mego konia, który ginął wśród suchych traw, lub zbyt bujnych ziół. Dla człowieka nie oswojonego z temi samotniami natury, przedstawiają one daleko większy obraz opuszczenia, braku życia, niż najdziksze lasy... W tych oko wstrzymuje się na drzewach, i może roić po za niem, co się przysni, ale w pełnym, wdowim stepie wzrok przepada i ginie, nie dostrzegając śladu ludzkiego bytu na ziemi! Wtedy zdaje nam się, że koczujemy w bezludnych obszarach, i żeśmy wstąpili w światy pustyni odwiecznych.

Kiedy koń mój zwolna kroczył ubieżoną już drogą, czułem żywo opuszczenie miejsc tych i niekorzyść mego położenia. Cisza pustyni od czasu do czasu tylko przerywana była krzykami jednostajnymi pelikanów, przechadzających się jak zmory dokoła oddalonego stawu, lub krakaniem złowrogiem kruka. Często też wilk zuchwał mnie nagabywał; zbliżywszy się na odległość, jaka mu się zdawała bezpieczną, przysiadł i poczynał wyc w takie niebogłoty, że samotnia ta nowej nabywała okropności.

Po dłuższym ustępie, dostrzegłem człowieka konno, na odległej wyżynie. Był to hrabia, który nie miał więcej powodzenia ode-

mnie, i obaj niedługo połączyliśmy się z naszym towarzyszem, wirtuozem, który z okularami na nosie dał kilka strzałów oczywiście daremnych. Mimo wszystkiego niechcieliśmy wracać, nie spróbawwszy szczęścia raz jeszcze.

Na olbrzymiej zieleni łąk dostrzegliśmy w odległości dwumilowej nowe stado bawołów, pasących się spokojnie na linii, porośniętej drzewami i krzakami. Zdawały się prawie swojskimi, należącymi do jakiegoś futorku, który wyobrażnia łatwiuteńko mogła umieścić tuż za tym gajem. Zamierzaliśmy zająć stado i zwrócić je w kierunku nagich przestrzeni. Inaczej, zbyt oddaliliśmy się, niepodobna było wrócić przed nocą. Tak więc otoczywszy je przezornie, zatrzymaliśmy się, skoro który z nich paść się przestawał, — na szczęście wiatr wiał naprzeciw nas, inaczej byłiby nas zwietrzyli i pierzchni. Tym sposobem podsuneliśmy się, nie przerywając ich uczt. Było ich ze 40 sztuk: byków, krów i cieląt. Tu oddaliliśmy się nieco od siebie, spodziewając równolegle zbliżyć do trzody. Poczęły zwolna postępować, chwytając jeszcze po chłapciu trawy, gdy jeden bawoła, spoczywający za wielkiem upadłym drzewem, a przeto od nas niedostrzeżony, zerwał się raptem i popędził ku swym towarzyszom. Byliśmy jeszcze daleko od nich, ale ostrzeżone poczęły pędzić, a my też w pogoń za nimi.

Po płaskiej ziemi biegły równym szeregiem, trzech tylko stanowiło zamknięcie kolumny. Ostatni z nich, o olbrzymim cielsku, garbie wyniosłym i sędziwej brodzie, wyglądał na jakiegoś patryarchę tej królewskiej trzody. Pojawienie się tych wielkich zwierząt, gdy wnoszą i zniżają olbrzymie grzbiety, jest oraz wspaniałe i pocieszne, ich oczy, ogony zaparte i płomieniste grzywy stanowią całość dziwną. Długo pędziłem za nimi, koń mój nie chciał się do nich przybliżyć na odległość strzału, tak był jeszcze spłoszony ostatnią katastrofą, — wreszcie wypaliłem, ale zbyt oddalony był strzał mego pistoletu. Reszta towarzyszy na gorszych koniach nie mogła ich dognać, jednak p. L. dał ognia ze strzelby, kula dosięgła bawoła w sam grzbiet, złamała kość pacierzową, i jękała ziemia pod ciężarem powalonej bestji. Pan L. zsiadł dla dobicia ofiary, ja zaś z jego strzelbą puściłem się za

zbiegami. Z tej wybornej broni, upatrzywszy najpiękniejszego byka, palnąłem doń, i ugodziłem śmiertelnie. Krok postąpiwszy upadł konający, a reszta trzody w koło uganiała z głowami w dół spuszczone, z hałasem do grzmotu podobnym.

Przywiązawszy konia, zbliżyłem się dla obejrzenia zdobyczy. Nie jestem bynajmniej myśliwym, tylko grubość zwierzyny i ochota awanturnicza ku temu mnie skłoniły. Teraz ta chętka znikła, a z żalem niewymownym i wyrzutów pełnym spoglądałem na nieszczęśliwe zwierzę, pasujące się z śmiercią, którego krwi struga u nóg mych się rozszerzała, ono zaś gasnącem okiem zdawało się mówić: co byłem ci winien człowiecze? Nawet jego wielkość i siła żal mój wzmagaly; czułem, że zniweczyłem siłę żywotną, sto razy większą, niż gdybym był zabił małą ptaszynę. Do tego biedne zwierzę nie mogło umrzeć; mimo śmiertelnej rany miało dość siły, by się bronić śmierci. Byłoby podwójnem okrucieństwem zostawić go na pastwę wilkom, które już wietrząc krew, odzywały się niedaleko, chcąc mnie odegnać; lub krukom, których chmura cała zkądś się wzięła, i krążąc nad nami, krakaniem złowrogim przepelniała powietrze. Było to zmiłowaniem przyspieszyć mu pokój, ukończyć męki jego. Zbliżyłem się z pistoletem. O cóż to za różnica godzić w chwili pogoni lub zmierzenia się ze zwierzęm, będąc wystawionym na niebezpieczeństwo, — a celować do bezbronnego z zimną krwią tnąc o dwa kroki. Musiałem się przewyciężyć. Wycelowałem i ugodziłem poniżej łopatki. Kula dosięgła serca, wół drgnął konwulsyjnie — i zdechł.

Wśród zadumy i uwag bolesnych, jakie sobie czyniłem, koń mój pasł się spokojnie, a towarzysze zbliżyli się do mnie. Wirtuoz, człowiek o wszechstronnem doświadczeniu i niemniejszej zręczności, zwłaszcza pełen wiadomości w szlachetnem rzemiośle chirurgii, oderznął ozór bawołowi i podał mi poważnie, abym go wziął z sobą, jako trofeę mego zwycięstwa.

(*Podług Wash. Irv.*)

ki: Sowa Charleya! sowa Charleya! Zdaje się, że ta sowa codziennie odwiedzała nasze ogniska, i jeden z szyldwachów strzelał do niej tłómacząc się, że z sowy doskonała zupa! Jeden z towarzyszy bardzo zręcznie począł naśladować krzyk ptaka Minerwy, który niedopisał reputacji o swojej mądrości, bo z dobroduszością pełną dobrej wiary wychylił się z cieni i zleciał na suchą gałąź tuż nad ogniskiem. Młody hrabia wycelowawszy dał natychmiast ognia i ptak złowróżbny spadł w trawę. Zaraz zawołano Charleya by uwarzył i przy nas zajadał ową „doskonałą zupę z sowy“ — ale przebiegły wisus dowcipnie wykręcił się mówiąc, że sowa nie była zarznięta przez niego, lecz zastrzelona! W ciągu wieczora odwiedziłem ognisko kapitana, płonące z olbrzymich pni dębowych, na których można było piec całego bawoła. W koło stali, leżeli lub siedzieli w malowniczych grupach opowiadając swoje przygody łowieckie, lub przeprawy z dzikimi. W miarę zapadania nocy czerwone światło poczęło się krwawić na zachodzie, po nad drzewami. „Zapewne to łąka zapalona przez dzikich Osagów“ rzekł kapitan. „Zapewne to przy ujściu rzeki Czerwonej, rzekł Beatte patrząc na niebo, zdaje się jakby ten ogień był o cztery mile od nas, a jest odległy dwadzieścia mil stepowych!“

Między ósmą a dziesiątą łagodne światło srebrzyste, rozpościerając się stopniowo od wschodu, oznaczało wschód księżyca. Pożegnałem kapitana i opuściłem namiot, chcąc biwakować z towarzyszami. Skóra z niedźwiedzia była mi pościelą, siodło poduszką. Owinięty kocami wyciągnąłem się rozkosznie na mojej pościeli myśliwskiej i zasnąłem snem słodkim a głębokim, przebudził mnie dopiero ze świtem dźwięczny głos myśliwskiego roga, wzywający po rosie do dalszego pochodu.

(Według *Wash. Irv.*)

Obrazy z podróży po stepach zachodniej Ameryki.

Skopiował E. Buława.

IV.

Przebyte rzeki Arkanzas.

Dosiegnęliśmy wreszcie o jaką milę ujścia Arkanzasu do rzeki Czerwonej; brzegi były strome i podmyte, a prąd wartki i głęboki. Trzeba więc było iść dalej lasami, a Beatta, Indianina, w drugą stronę posłać na zwiady. W godzinę powrócił on z wesołą nowiną, że o milę odkrył duże mielizny i szerokie nasypy piasku, a resztę można było przepłynąć na koniach. Zatrzymaliśmy pochód, zrąbano kilka drzew dla zbicia tratw pod nasze rzeczy; inni usiłowali wynaleźć jeszcze dogodniejszy punkt przejścia. Dopiero wtedy pokazało się, jakimi środkami i jaką zręcznością władali Indiani nasi, Tony i Beatte. Na byli w jednej z wioszek duża, suchą skórę bawoła; użycie jej było arcydziełem przytomności umysłu i zręczności w tej ważnej chwili. Przewleczone najprzód sznurki przez małe otwory u brzegów skóry, i złożono rodzaj tratwy; kije, ułożone na jej poziomie, nie dały jej się ugiąć; rzeczy naszą złożono tam w nieładzie, poczem dźwignięto tę kłodź szczególną, i zaniesiono na wodę. Beatte chwycił w zęby gruby sznur, przymocowany do tej skóry, i najprzód brnął w wodę póki się dało, ciągnąc skórę po niej, a potem rzucił się w pław, ciągnąc sznurem, w zębach trzymanym, cały ten ekwipaż, i płynąc bohatercko aż do brzegu. Drugi Indianin z tyłu płynąc, popychał cały ten tabor, by prądem nie został porwany. Płynąc, wydawali obaj najdziksze krzyki, które mogły uchodzić za krzyki przerażenia, a były tylko oznakami wesołości. Mnie i komisarzowi tak się podobał ten rodzaj przeprawy, że postanowiliśmy osobiście przepłynąć rzekę na tej bawolej skórze. Przywleczono ją napowrót do nas, obciążono bagażami do stu funtów, a gdy spłynęła, dano mi znać, bym na tem wszystkiem usiadł. Przypomniało mi to przeprawy przez morze Gothama w legendach indyjskich. Wszedłem na środek i siadłem na tronie rupieci spiętrzonych, z wszelkimi ostrożnościami. Skóra tylko na szerokość ręki zagięta

była ponad powierzchnią wody. Podawano mi strzelby, karabiny, bronie mniejszego kalibru, ale w takiej ilości i wadze, iż wkrótce trzeba mi było protestować, że więcej nie wezmę, bo skóra na dobre chwiać i przechylać się poczyniała. Odepchnięto ją i wplynęliśmy na głębie. Było to wrażenie na pół komiczne, na pół poważne, gdy się ujrzał żeglarzem na skórze wołowej, na rzece wśród pustyni, otoczonej dziką naturą, ciągnięty zębami dzikiego człowieka, wydającego w czasie przepływania istnie diabelskie wniebogłosy. Dla dodania im otuchy, na środku rzeki się znajdując, dwa razy strzeliłem w powietrze z mej dubeltówki. Echo tych strzałów odwzorzyło się w nieskończoność pustyni i lasów, a z brzegu odpowiedzieli mu okrzykiem liczni towarzysze. Wkrótce wszystkich przeprowadzono tymże sposobem. Proszę sobie teraz wyobrazić, w jaką pychę wzbity Tony przechadzał się po brzegu, jako wynalazca tego środka przeprawy. Beatte zaś pozostał surowy i milczący, ani jedna marszczka jego saturnowatej twarzy nie poruszyła się. Mruknął tylko ponuro. Teraz widzę, że Indianin przecie na co przydać się może. Szeroki brzeg pełen piaszczystego nasypu, cały narzucony był niezliczonymi śladami sarn, guszców, niedźwiedzi, indyków i wodnego ptactwa. Wybrzeża były przesłone: tu długie błękitne laguny, dziergane wierzbnymi i drzewami bawełny, tam bujne knieje leśne, szeroko rozłożyste platany, a w oddaleniu łagodne wzgórza, lasem kędzierzawym, jakby z pod ręką Ryukisdaela wyrosłe... Listki już miały odcień złotawy doświadczenia jesiennego, co nadawało krajobrazowi pewien ton pełen harmonii, bogaty i wspaniały, jak złotawe tła Claude Lorraina. Pierwszy plan rzeki był ożywiony okrągłą łodzią, na której kapitan się jeszcze przeprowadził, a dalszy długim szeregiem naszych towarzyszy, którzy pojedynkami przeprawiali się po nasypach, lub wplaw przebywali rwiące prądy strumienia.

V.

Burza w stepach. Popas. Scena nocna. Historia dzikich. Koń sploszony.

W ciągu pierwszej połowy dnia, udaliśmy się ku południowi, pomiędzy lasy dębów karłowatych, zwanych Czarne zmory (Jack noir). Ziemia, na której rosną, jest bardzo ślizka. Często tylko piasek ruchomy, po którym kopyta koni w czasie deszczu bardzo się ślizgają. Czasami zapadają zupełnie w bagniste pokłady. W tem położeniu byliśmy

właśnie, w skutek ulewnego deszczu, i bardzo powoli mogliśmy się posuwać. Kilka dzikich guszców zerwało się przed nami, ale nikt za nimi nie mógł pogonić. Napotkaliśmy kości i szkielet bawoła; drugim razem ślad jego. Ożywiło to trochę nadzieję myśliwych, lecz nie na długo. Przebywając łąkę średniej zaległości, zmienioną w ślizkie bagno, usłyszeliśmy nagły huk kilku po sobie następujących piorunów. Deszcz lunął grubymi sznurami i wkrótce huczały wozbrane mętne potoki, ziemię ryjące. Niebawem całą przestrzeń stepu okryły takie ciemności, że ręki własnej widzieć nie mogłem, przerywane cudownymi łunami błyskawic, których tła zalewały niebo — i gasły... Zdało się, że grzmot huczy tuż nad naszą głową, a lasy trzeszczące, wichrem szamotane i łąki powtarzały ten rozgłos pełen dzikości.

Ludzie i konie, tłumiąc się, łamiąc szyki, lecieli tędy i owędy. Niektóre konie żadnym sposobem nie dały się prowadzić, urywały się, biegły rżąc z trwogi w ciemności, tak, że nasz tabor rozpierzchnięty wyglądał na flotę rozprószoną przez burzę i wozbrane bałwany.

Wreszcie około drugiej, stanęliśmy w miejscu gdzie można się było trochę przytulić, i zebrawszy siły spoczęliśmy całym taborem w lasu wzgórzystym i rozwartym. Zwolna mgły się ulatniały, po łąkach płynęły runami chmury srebrno popielate i unosiły się ku wyplakanemu i usmiechniętemu już błękitowi. Natychmiast łoskot siekier i hałas drzew padających ozwał się do koła. Zapłonęły sielskie ogniska, przed którymi zamiast namiotów rozciągnięto kołdry, które zasłonięto skórą i dywanami, a przy każdym ogniu siedziała grupa grzejąca się i oczekująca z pilnym krzątaniem około biesiady. Kilku strzelców czyściło i wystrzeliwało bronie, a konie wolne od uzd i siodeł, z dziką rozkoszą tarzały się po mokrej trawie.

Aż do wieczora trwały ulewy z małemi przerwami. Zebrano konie i ustawiono za zbliżeniem nocy w koło taboru a przy nich strażę. Obawa przed napadem Indian korzystających zwykle z ulew deszczowych, zmuszała nas do czujności. W miarę jak ściemniało, ognie nasze coraz jaśniej pałały, oświecając gałęzi, lasów, kiedy reszta drzew zostawała otulona półcieniem. Grupa każdego ogniska była nad wyraz malownicza i konie między gałęziami były jak cienie tajemnicze, wśród których niekiedy plastycznie wyzierał kształt szpaka lub gniadosza. Od

czasu do czasu, jednak błyskawice po sobie goniące, rumieniły daleki krajobraz pól, lasów i stepów, z których spienione ruczaje chwilowo się srebrzyły, a nim je oko chwyciło, już gasły w ciemności. Burza na stepie podobnie jak burza na pełnym morzu, wskutek rozległości i dzikości miejsca, ma swój równie olbrzymi jak cudowny obraz.

Nie dziw, że jej czołem biją Indianie, mający ryk gromu za głos rozniewanego ducha wszechświata. Kiedy schły nasze manatki, starałem się z dzikich wybadać niektóre szczegóły dotyczące się ich wyobrażeń i obyczajów. Utrzymują oni, że czasem znaleźć można na łąkach szczątki zagasłych piorunów, których szczęśliwi właściciele używają jako ostrza osadzonego na niemyłej strzale. Utrzymują również, że wojownik tak uzbrojony jest niezwyciężonym. Jednak, gdyby burza w czasie bitwy wybuchła, może być wraz z strzałą porwany i uniesiony bez wieści. Opowiadali mi między innymi legendę o pewnym wojowniku, z pokolenia Kussas, którego burza zachwycała w drodze i piorun poraził. Padł bez zmysłów, a gdy przyszedł do siebie, ujrzał wężyk piorunowy lecący po ziemi a obok dzielnego rumaka, którego dziarsko doskoczył — zapóźno jednak przekonał się, że tym rumakiem była błyskawica. W chwili został porwany w górę nad łąki i lasy, wreszcie rzucony na dzikie skały, gdzie zwolna przyszedł do siebie a gdy się zebrał by wracać do domu, ledwie w kilka miesięcy zaszedł do swej zagrody. To podanie przypominało mi drugie, które z ust pewnego towarzysza podróży słyszałem.

Pewien wojownik ujrzał raz piorun zagasły na ziemi, w postaci spiącego człowieka, obok którego leżały cudnie haftowane pantofle; wojownik sądząc, że ułowi zdobycz znakomitą, spieszenie obu pantofle, te zaś w okamgnieniu uniosły go w krainę duchów, zkad więcej nie wrócił. Malownicze to podanie jest pełne allegorycznej treści, przeto wspominam o niem. Podania te na pozór płaskie, zyskują wiele czaru romantycznego, gdy się je słyszy z ust samychże dzikich Indian, przy ogniskach buchających, w czasie nocy pochmurnej, osłaniającej z jednej strony las, z drugiej pustynię, w której dziki człowiek, lub dzikie zwierzę nieraz czatują, by się napasać wśród ciemności. Rozmowę naszą przeważało gwałtowne uderzenie piorunu, po którym głucho zatętniały kopyta konia pędzącego dzikim cwałem w pustyni. Tentent zrazu silny, później słabnący, wreszcie zniknął w głuchym pustkowiu. Gubiliśmy się w przy-

puszczeniach nad znaczeniem tego hałasu. Jednym się zdało, że piorun sploszył konia, który się zerwał, inni, że to złodziej, dziki Indianin, dosiadł go i uszedł. Zwykle podkradają się oni cichaczem, i dosiadłszy konia, galopem szalonym uprowadzają za sobą i drugie konie. Nic nie ma bardziej panicznego, nad przestach koni. Przestach jednego zdolny przerazić wszystkie, i tak jedne lecąc, uchodzą za drugimi. Wszyscy właściciele koni byli w niepokoju, rano zaś dopiero można było rozemnać, kto poniósł stratę. Niektórzy byli w rozpacz, bo lękali się, czy pozbawieni wierzchowców zdołają pieszo wytrzymać trudy podróży. Po ciemnej nocy zorza błysnęła jasna i ognista, a wspaniały wschód słońca, przemienił cały ciemny krajobraz, w najcudniejsze zjawisko.

Były to zielone łąki, świeżo i bez końca rozpostarte przed nami, gdzie niegdzie lasy otulone mgłą poranku, i samotnie stojące olbrzymie dęby, jakby umyślnie posadzone, by wzrok miał się na czem zatrzymać w dzikiej pustyni. Rozpierzchnione szeroko stadem pasące się nasze konie, nadawały tej puszczy kształt olbrzymiego parku. Trudno było dać wiarę, żeśmy tak daleko od wszelkiej ludzkiej siedziby. Tabor nasz wyglądał dziwnie, z szałasami z dywanów i skór uwieńczony błękitnymi dymami dogasających płomieni. O świcie zaczęto szukać koni, wynaleziono wszystkie, nawet tego, który nam tyle sprawił kłopotu, spotkano o milę od taboru, pasącego się spokojnie. Róg myśliwski zadzwonił w puszczy na hasło dalszego pochodu. Tym razem byliśmy narażeni na napad dzikich. W momencie szyki sprawiono w sposób bojowy. Nie wolno było nikomu nawet za zwierzyzną oddalać się bez upoważnienia. Konie luźne umieszczono w środku, a straż silna zamykała nasz pochód. Po długiej i mozolnej podróży przez dziką i krzaczystą krainę, wyszliśmy na pełny step. Olbrzymia płaszczyna zielona, falująca puchami rślin, jak fala morza, dosięgała horyzontu nieba; lasy w niezmiernej oddali ledwo widzialne, były jak okręty błądzące po pełnym morzu. Prostota a wielkość, że tak powiem biblijna tego obrazu, czyniły go czarującym; pod wrażeniem tem pierś oddychała szeroko i zdrowo, a dusza nie posiadała się z zachwytem!...

(Według Wash. Jrw.)